

Na tropach legend miejskich. Z Dionizjuszem Czubałą rozmawia Piotr Grochowski

Tracking Urban Legends: A Conversation between Dionizjusz Czubała and Piotr Grochowski

DOI: 10.12775/LL.3.2022.006 | CC BY-ND 4.0

DIONIZJUSZ CZUBAŁA is one of the most important contemporary Polish folklorists; his research pertains to the occupational folklore of potters and various forms of oral narratives. Among his works of particular value are his field studies concerning urban legends conducted in Poland, Russia, Ukraine and Mongolia, reports from which were published in the “FOAFtale News” bulletin, and research on memoirs connected with the Holocaust, published in the book *O tym nie wolno mówić... Zagłada Żydów w opowieściach wspomnieniowych ze zbiorów Dionizjusza Czubały*, 2019 (*We Are Not Allowed to Speak about It... The Extermination of the Jews in Memoirs from the Collection of Dionizjusz Czubała*). He is the author of numerous monographs and collections of folklorist texts, including: *Folklor garncarzy polskich*, 1978 (*The Folklore of Polish Potters*); *Podania i opowieści z Zagłębia Dąbrowskiego. Sto lat temu i dzisiaj*, 1984 (*Legends and Stories from the Dąbrowa Basin. A Hundred Years Ago and Today*); *Opowieści z życia. Z badań nad folklorem współczesnym*, 1985 (*Stories from Life. From Research on Contemporary Folklore*); *Nasze mity współczesne*, 1996 (*Our Contemporary Myths*); *Polskie legendy miejskie. Studium i materiały*, 2014 (*Polish Urban Legends. Study and Materials*).

KEYWORDS: contemporary folklore, urban legends, field work

P. G. Jak zaczęła się Pana przygoda z badaniem legend miejskich?

D. C. W latach 80. XX w. zbierałem wspomnienia wojenne i w trakcie tego zbierania zdarzały się takie teksty, które nie pasowały do modelu klasycznej opowieści wspomnieniowej. Dostrzegłem, że są to teksty, które pojawiają się,



Dionizjusz Czubala. Fot. Marta Ankersztejn © Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

żyją krótko, mają zdolność szybkiego rozpowszechniania się. Ja wtedy nie wiedziałem, jak je nazwać i pisząc książkę, określiłem je jako sensacje¹. W tym czasie ukazała się też publikacja Jana Harolda Brunvanda *Znikający autostopowicz*². Kiedy ją przeczytałem, nagle uzmysłowiłem sobie, że Brunvand pisze o tych moich sensacjach, tylko nazywa je legendami miejskimi. Napisałem do niego liścik, że ja też się tym zajmuję i że chciałbym opublikować artykuł na ten temat. A Brunvand przesłał ten mój prywatny list do Billa Ellisa, redaktora czasopisma „FOAFtale News”, poświęconego legendom miejskim. Ellis opublikował w całości mój list i dodał jeszcze, że polski badacz poszukuje kontaktów. Nagle zacząłem otrzymywać z całego świata różne zapytania o legendy miejskie, zacząłem ich szukać i tak ruszyło zbieractwo. A były to lata 80. XX w., okres szczególnego kryzysu politycznego i gospodarczego w Polsce, a więc to był idealny moment, bo kryzysy zawsze sprzyjają rodzeniu się mitologii dnia codziennego. I tych tekstów zaczęło mi gwałtownie przybywać.

Wtedy już dobrze wiedziałem, co zbieram, i uświadomiłem sobie, że jest to nowe zjawisko, które dostrzegły również Janina Hajduk-Nijkowska i Dorota Simonides. One także w tym czasie opublikowały artykuł, w którym nazwa-

1 Chodzi o publikację: Czubala, D. (1985). *Opowieści z życia. Z badań nad folklorem współczesnym*. Uniwersytet Śląski.

2 Brunvand, J. H. (1981). *The Vanishing Hitchhiker: American Urban Legends and Their Meanings*. Norton.

ły te teksty podobnie jak ja, czyli opowieściami sensacyjnymi³. Moje polskie doświadczenia zostały błyskawicznie skonfrontowane z dorobkiem światowym. Dość szybko zacząłem przysyłać Billowi Ellisowi raporty z badań terenowych, zresztą nie tylko z Polski, bo zaczęły do mnie docierać również wątki ze Wschodu – z Rosji, z Ukrainy, z Białorusi. Myśmy wtedy mieli ułatwione kontakty, bo uczelnie polskie miały porozumienia z uczelniami rosyjskimi, ukraińskimi, białoruskimi i ja tam wyjeżdżałem, i dość szybko zacząłem włączać do moich zbiorów materiały wschodniosłowiańskie. To bardzo interesowało Ellisa i badaczy zachodnich, bo był to teren dla nich nieznanym i nawet zastanawiali się, czy tam w ogóle istnieją legendy miejskie. No i moje penetracje odpowiadały na ich pytania. I wszystkie te moje raporty, a było ich chyba siedem, ukazały się drukiem w „FOAFtale News”⁴, dzięki czemu docierali do nich różni badacze. Stąd też miałem wiele próśb, żeby udostępnić legendy, które były tym uczonym potrzebne. Oni z kolei zaczęli mi przysyłać własne teksty. Dlatego w tamtym czasie byłem w Polsce chyba jedynym badaczem, który miał tak szeroki przegląd tego, co się na świecie pisze w tej materii. Z kolei Brunvand w *Encyklopedii legend miejskich* opisał polski dorobek w oparciu o moje teksty⁵.

P. G. Jakie metody stosował Pan podczas zbierania legend miejskich?

D. C. Dość szybko zacząłem porządkować moje materiały, dzieląc je na wątki tematyczne i układając w teczkach opisanych takimi hasłami, jak: „lekarze i cudowne lekarstwa”, „erotyczne i seksualne”, „rynkowe”, „związane z religią” itd. Na tej podstawie układałem kwestionariusz. Na początku miał on około 30 pytań, ale po przeczytaniu książki Brunvanda i pierwszych polskich penetracjach tych pytań było już 250. Rzadko kto podda się takiemu wywiadowi.

Jak zbierałem? Jedna metoda to była próba szukania kogoś, kto z tobą usiądzie i pozwoli się usidlić. Wtedy zaczynałem ten normalny wywiad według kwestionariusza. To jest bardzo skuteczne, ale tylko w przypadku tych rozmówców, którzy są w stanie z tobą współpracować. Ludzie się przy tym szybko nudzą, ale legendy miejskie mają taką siłę uruchamiania emocji, że jeśli są aktualne, to jednak ludzie łatwo wygrzebuja je ze swojej pamięci, bo je jakoś

3 Hajduk-Nijkowska, J., Simonides, D. (1989). *Opowiadania ludowe*. W: D. Simonides (red.), *Folklor Górnego Śląska*. Wydawnictwo Śląsk.

4 Są to następujące teksty: Earliest Accounts of Contemporary Legends in Russia. *FOAFtale News*, 18 (June 1990), 6–7; The ‘Black Volga’: Child Abduction Urban Legends in Poland and Russia. *FOAFtale News*, 21 (March 1991), 1–3; AIDS and Aggression: Polish Legends about HIV-infected People. *FOAFtale News*, 23 (September 1991), 1–5; The Death Car: Polish and Russian Examples. *FOAFtale News*, 25 (March 1992), 2–4; Mongolian Contemporary Legends [3 części]. *FOAFtale News*, 28 (December 1992), 1–5; 29 (March 1993), 1–7; 31 (November 1993), 1–4. Czasopismo jest dostępne na stronie FOAFTALE NEWS On-Line: <https://www.folklore.ee/FOAFtale/>.

5 Brunvand, J. H. (2012). *Encyclopedia of Urban Legends: Updated and Expanded Edition*. ABC-CLIO. Materiały Dionizjusza Czubali stały się podstawą do opracowania haseł *Poland*, *Russia* i *Mongolia*, ale zostały też przywołane w kilku innych hasłach dotyczących poszczególnych wątków legend miejskich.

przeżyli, przemyśleli i pamiętają. To dawało wyniki. A druga metoda polegała na tym, żeby zbierać to, co akurat słyszałeś od ludzi. I bardzo często mi się to zdarzało, kiedy o legendach z pasją odkrywcy mówiłem na swoich wykładach. To się udzielało i studenci natychmiast opowiadali mi swoje warianty, a ja nosiłem ze sobą magnetofon i nagrywałem. Legendy miejskie dobrze jest nagrywać, ale robiłem też mnóstwo zapisów ręcznych, bo to są krótkie teksty i często nie zdążyłem włączyć magnetofonu.

A więc te dwie metody mi się sprawdzały. Ale idealna była praca ze studentami. Kiedy mi się z nimi pracowało wyjątkowo dobrze? Na egzaminach. Prowadzisz egzamin i student odpowiada dobrze albo bardzo dobrze. Dostaje do indeksu stopień i widać, że jest radosny. I jeżeli takiemu radosnemu człowiekowi zadajesz pytanie, to on cię nie opuszcza i możesz go „wyeksploatować” badawczo. Więc ta metoda była bardzo dobra i zbierałem przy jej pomocy dwa rodzaje tekstów. Gdy ktoś zdawał słabo, wtedy pytałem, jakie zabiegi magiczne czynił, aby ten egzamin się udał. No i studenci bardzo rzetelnie odpowiadali; zwykle stosowali jeden czy dwa takie zabiegi, i to był ten pierwszy rodzaj tekstów. A drugi to właśnie legendy miejskie, które studenci bardzo chętnie mi opowiadali.

P. G. Ale studenci byli nie tylko Pana „informatorami”. Często uczestniczyli w badaniach, pomagając Panu w zbieraniu materiałów. Jak sobie radzili w terenie?

D. C. Byłem opiekunem Koła Naukowego Folkloroznawców na Uniwersytecie Śląskim i kiedy ogłaszałem, że mamy pieniądze na dwutygodniowy obóz naukowy w jakimś rejonie, zwykle zgłaszało się do mnie 20–30 osób. Najczęściej zbieraliśmy wtedy materiały w Zagłębiu Dąbrowskim. Studenci byli dobrze przygotowani, wiedzieli, co mają zbierać, mieli magnetofony i kwestionariusze. Przyjeżdżamy na obóz, ruszamy w teren i po pierwszych wyprawach ludzie wracają z niczym. Co się okazuje? Za trudny jest dla nich ten pierwszy etap przełamania obcości, przełamania nieufności rozmówców, którzy przyjmują ich, wysłuchają, ale nie mają nic do powiedzenia lub zbywają ich byle czym. Studenci z lęku często łączyli się w większe grupy, co jeszcze bardziej utrudniało im prowadzenie rozmów. I na 20 osób zdarzały się może dwie, które świetnie sobie radziły i dzień po dniu przynosiły taśmy z nagraniami.

Ale zdarzały się też komplikacje, które wynikały z moich błędów. Na przykład kiedyś byliśmy na Ukrainie i całkowicie oddałem studentom inicjatywę w prowadzeniu wywiadów. Wymyślili, że przeprowadzą grupowy wywiad ze studentami ukraińskimi. Zaprosili ich. Przyszli tacy ładni chłopcy, przynieśli wódkę. Nasze dziewczyny też bardzo piękne. A ja siedzę z boku, nie chcę przeszkadzać, chcę, żeby młodzież się sprawdziła. Wywiad ma prowadzić przewodnicząca koła. Ma kwestionariusz. I co ona wybiera z tego kwestionariusza? Wybiera pytanie o wątki seksualne. Jak ona zadała to pierwsze pytanie, jak się ci chłopcy zaczęli śmiać, to pospadali z krzesel i tego już się nie dało w ogóle zahamować. Każde kolejne pytanie było dla nich równie śmieszne. W końcu

dziewczyny też zaczęły się śmiać i ja też i żadnego wątku nie udało się zapisać. A potem, wiadomo, chłopcy wyjęli wódkę, była zabawa, śpiewy...

P. G. Jak to się dzieje, że legendy miejskie czasem wywołują śmiech, czasem zaś są traktowane niezwykle poważnie, a niekiedy wzbudzają nawet panikę?

D. C. W 1989 r. była u nas panika na tle AIDS i codziennie rodziły się opowieści na ten temat. Takiej panice ulegali zresztą nie tylko zwykli „zjadacze chleba”, ale i dziennikarze. Na przykład popularne były opowieści, że znane prostytutki hotelowe, które przyjmują wyszukanych gości zagranicznych, są roznosicielkami AIDS. I w jednej z gazet znalazłem artykuł, w którym dziennikarz z pełną wiarą obliczał, ile taka prostytutka dziennie przyjmuje klientów i ile osób może dzięki temu zarazić, a były to astronomiczne liczby. A więc wiadać, że ten dziennikarz był klasyczną ofiarą legendy miejskiej. Po roku ta panika z powodu AIDS umarła. W legendach miejskich zawsze występuje identyczny mechanizm. W momencie narodzin mamy dramatyczną i emocjonalną wiadomość, która powoduje, że legenda błyskawicznie się rozprzestrzenia, później osiąga taki punkt krytyczny, szczytowy i potem nagle jej wiarygodność załamuje się. Dzieje się tak dlatego, że kiedy już dziesiąty człowiek opowiada tę samą historię inaczej, to u odbiorców następuje krytyczna refleksja i wtedy bardzo często dany wątek zmienia się w opowiadanie komiczne, przechodzi w dowcip, co też niejednokrotnie dokumentowałem. Tak było choćby ze znanym wątkiem „Czarna wołga”. Kiedy ta legenda była aktywna, pojawiały się różne dementi ze strony policji, dziennikarzy, oficjeli, którzy mówili, że nigdzie nie odnotowano takiego przypadku, że to jest absolutny wymysł i żadne dziecko nie zostało w taki sposób porwane. Nic to nie pomagało, bo panika obejmowała zarówno dzieci, które bały się czarnej wołgi, jak i rodziców oraz nauczycieli, którzy najbardziej przyczyniali się do rozpowszechniania tej legendy. Początkowo miała więc ona niebywałą wiarygodność i jak pytałem studentów o czarną wołgę, to w tym pierwszym okresie ich opowieści były tak dramatyczne, że włos się jeżył na głowie. A potem, mniej więcej po roku, jak zapytałem o wołgę, to cała sala studentów buchnęła śmiechem, bo wątek już został zdegradowany. Później może się on odrodzić w nowej formie, z innymi bohaterami lub szczegółami wydarzeń. Wielokrotnie zapisywałem np. wątek „Czarna wołga”, która porywa ludzi, by wyciąć im nerkę, a w Rosji istniała odmiana mówiąca o wycinaniu źrenic dla wybitnego rosyjskiego okulisty.

P. G. Czy jako ekspert w tym zakresie był Pan proszony o konsultacje i dementowanie takich podejranych sensacji?

D. C. O konsultacje i dementowanie nie. Ale udzieliłem bardzo wielu wywiadów i dziennikarzy zwykle zaskakiwało to, że naukowiec zajmuje czymś takim, co dla nich jest chlebem powszednim, bo legenda miejska jest pożywką dla tzw. prasy brukowej i innych mass mediów. Najczęściej pytali mnie, co i jak zbieram,

i oczywiście zwykle wywiad kończył się przytoczeniem kilku ostatnich przykładów. Zawsze miałem na podorędziu takie najświeższe wątki, no i to bardzo chętnie dziennikarze publikowali. Natomiast chyba unikali dociekania, czy oni sami nie padają często ofiarą legend miejskich. A z moich obserwacji wynika, że niejednokrotnie tak było. Przykładem może być wątek mówiący o tym, że mafie lub sekty religijne prowadzą specjalne farmy lub sierocińce, w których hoduje się lub gromadzi dzieci, aby dostarczyć organów do leczenia bogatych ludzi w Stanach Zjednoczonych. To był niezwykle popularny wątek w Ameryce Południowej, ale w Polsce wiele razy spotkałem w telewizji, w radio i w prasie wypowiedzi, w których dziennikarze z pełną wiarą twierdzili, że takie miejsca na świecie istnieją, i nie wspominali nawet, że mogą to być plotki czy pogłoski, a więc byli klasycznymi ofiarami legendy miejskiej.

P. G. Chciałbym porozmawiać nieco więcej o Pana podróżach na Wschód, czyli do krajów wschodniosłowiańskich oraz do Mongolii. W odróżnieniu od Zachodu legendy miejskie nie są tam bowiem chyba przedmiotem intensywnych badań naukowych?

D. C. W Mongolii byłem trzykrotnie, za każdym razem przez prawie całe wakacje; to był 1991 r., potem 1999 i 2000. Ale te badania rozpocząłem już w 1990 r. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Mongołem, który miał na imię Moncho. Przyjechał do nas na Uniwersytet Śląski na staż naukowy. On był zapalonym myśliwym i ja zabierałem go na polowania. Mieszkał w akademiku dla asystentów, miał dwa pokoje, a więc mógł przyjmować innych Mongołów i ja do niego jeździłem przez cały rok, i pytałem o legendy miejskie jego żonę, braci i wszystkich, którzy do niego przyjeżdżali. Krótko mówiąc, właściwie trochę ich wszystkich terroryzowałem, bo nie mogli się wywinąć i to dawało mi bardzo dużo materiału. Ale w Mongolii sytuacja okazała się zupełnie inna, niż to sobie wyobrażałem. Jechałem tam głównie po to, żeby zbierać opowieści o yeti, bo to mnie wtedy fascynowało (oni tam mają własną nazwę na tego zwierzę – *almas*). Moncho był moim tłumaczem i przewodnikiem. On wiedział, co ja zbieram, po co przyjechałem, i zapewniał mi kontakty, które nie było łatwo nawiązać, tym bardziej że ja robiłem wywiady po rosyjsku i trzeba było szukać ludzi mówiących w tym języku. Ale pierwsze moje doświadczenia były wręcz szokujące. W krajach zachodnich człowiek jest przyzwyczajony do tego, że jak zadajesz pytanie, to otrzymujesz odpowiedź – jakkolwiek, może być negatywna, może być kiwnięcie głowy, jakiś gest – ale jest jakiś kontakt. W Mongolii spotkały mnie natomiast sytuacje takie jak ta. Pewnego dnia teść mojego przyjaciela przyszedł, żeby zobaczyć „tego Europejczyka”, bo był ciekawy. To był wykształcony człowiek, ciekawy świata. Byłem przekonany, że błyskawicznie nawiążemy kontakt i rozmowa się uda. Moncho posadził nas przy stole, zrobił herbatkę czy kawę i czymś się zajął. I ja rozmawiam z tym jego teściem. Teść się pyta: „Pan przyjechał na badania naukowe, co pana interesuje?”. Myślę sobie tak: „Trzeba mu dokładnie wytłumaczyć, o co mi chodzi w tych badaniach”. Więc mówię, że

interesuje mnie taka współczesna mitologia, takie przypadki szczególne, często dramatyczne i podaję polskie przykłady. I wydaje mi się, że on zrozumiał, co mówiłem. Za chwilę do tego stolika dosiada się jego córka, czyli żona Moncho, i jeszcze jakaś osoba, a ja już jestem przekonany, że za chwilę będziemy zbierać legendy. Zadaję mu więc pierwsze pytanie – najłatwiejsze, na które każdy rozmówca na świecie ma dziś jakąś odpowiedź, czyli pytam o UFO. Ale on nic nie odpowiada. Myślę sobie: „Może to pytanie jest jakieś drażliwe i z jakiegoś powodu mu nie odpowiada”. No to szukam innego wątku. Drugi taki, który – jak myślę – pozwoli „rozgadać” narratora, to *almas*, czyli yeti. Więc zadaję mu pytanie o yeti, ale on w ogóle nie reaguje, jakby pytanie odbiło się od niego, tylko zwraca się do córki po mongolsku. I takie sytuacje zdarzyły mi się jeszcze kilka razy. Zdarzyło się też tak, że Moncho specjalnie zaprosił na spotkanie ze mną swojego przyjaciela. Ja cały wieczór tłumaczyłem mu, co mnie interesuje, on słuchał, ale na żadne pytanie mi nie odpowiedział. I myślałem, że skończy się to tak, jak z tym teściem, a on przychodzi na drugi dzień i mi opowiada mnóstwo swoich wątków.

W Mongolii trudność z prowadzeniem takich badań polega także na tym, że często zaciera się tu granica między legendami miejskimi a tradycyjnymi wątkami. Opowiadano mi tu dużo takich historii, co do których nie byłem pewien, czy są to legendy miejskie. Na przykład w jednym mieście zachorowało dziecko, któremu żaden lekarz nie mógł pomóc. Rodzice poszli więc z tym dzieckiem do lamy i opowiadają mu, jak to dziecko choruje. A on mówi tak: „Macie w domu czerwony przedmiot przyniesiony z zewnątrz. Trzeba ten przedmiot oddać”. Oni wracają i szukają. Cały dom przeszukali, nigdzie nie ma żadnego cudzego czerwonego przedmiotu. I wreszcie w piórniku tego dziecka znajduje się czerwony ołówek czy długopis; dziecko przyniosło ze szkoły nie swój przedmiot. Rodzina pozbyła się tego przedmiotu i dziecko wyzdrowiało. Czy to jest legenda miejska? Zdarzenie jest współczesne, ale sam schemat i sens przedstawionego zachowania bardzo tradycyjne.

P. G. Czy ze swoich badań na Wschodzie pamięta Pan jakieś niebezpieczne sytuacje, kiedy ludzie reagowali agresywnie lub czuł się Pan zagrożony?

D. C. Nie miałem takich sytuacji. Rosjanie są bardzo serdeczni. Najczęściej prowadziłem z nimi wywiady, jadąc wiele dni pociągami przez Syberię. Siedzisz w tych przedziałach, nudzisz się i jak się znajdzie jakiś ciekawy rozmówca, to ludzie się otwierają bardzo szybko. Zresztą zaprzyjaźniałem się w ten sposób, że na tych wielkich stacjach syberyjskich, kiedy trzeba było po chleb do kiosku skoczyć, to oni dbali, żebym nie został na stacji, żeby mi ktoś czegoś nie ukradł. Więc jeśli chodzi o Rosjan, doświadczyłem bardzo wielkiej serdeczności, a także wyrozumiałości nawet w stosunku do naprawdę głupich pytań z mojego kwestionariusza, ale z agresją się nie spotkałem. To, że mnóstwo ludzi nie odpowiadało, jest normalne. Znaleźć rozmówcę to jest pewna sztuka.

P. G. A pamięta Pan swoich najlepszych rozmówców?

D. C. Tak. Tacy ludzie na całe życie zostają w pamięci, bo to jest wielka radość, tyle satysfakcji i przeżyć emocjonalnych. Mój wywiad życia odbył się we Lwowie. Jeździłem tam ze studentami w ramach wymiany między Uniwersytetem Lwowskim a Uniwersytetem Śląskim. Byliśmy zakwaterowani w akademiku i zauważyłem, że jest tam na portierni taka urocza, uśmiechnięta babcia, która mówi po polsku. I zacząłem z nią rozmawiać, ale ona była tak zajęta tym wydawaniem kluczy i kontrolą, czy ktoś obcy nie wchodzi, że nie miała czasu. Umówiłem się więc z nią, że przyjdę o godzinie dziesiątej, kiedy zamykała portiernię. I to był mój wywiad życia. Spałem w tym akademiku trzy noce, a dwie noce nagrywałem wywiad. Nagrałem kilka taśm. Radość zbieracza polega na tym, że masz kwestionariusz, zadajesz pytania, a rozmówca od razu, jak wulkan, odpowiada na każde z nich. I ona w ogóle nie była tym zmęczona. Ja już padałem na twarz, a ona opowiadała dalej. Miałem wtedy jakiś aparat i zrobiłem jej zdjęcie, które było niesłychanie udane. Postanowiłem jej się zrewanżować chociaż tym zdjęciem, bo wyszła idealnie. Ale długo nie jeździłem do Lwowa i dopiero kiedy moja koleżanka jechała tam na wycieczkę, powiedziałem: „Weź to zdjęcie. Tam jest taka babcia, ma takie nazwisko, oddaj jej”. Po powrocie koleżanka mówi: „Słuchaj, nigdy nie przeżyłam czegoś takiego. Jak powiedziałam, że tu był taki Polak, rozmawiał z panią i przesyła to zdjęcie, to ona zaczęła płakać i objęła mnie, i tak płakała nad tym zdjęciem, że ja byłam zszokowana”. W ten sposób sprawiłem tej babci radość i jakoś się zrewanżowałem za ten cudowny wywiad.

A drugi wywiad życia był w zupełnie innej sytuacji. Jechałem po raz pierwszy do Mongolii w 1991 r. i na Syberii, już w Omsku, wsiadły do sąsiedniego przedziału trzy studentki, które jechały nad Bajkał na wypoczynek do jakiegoś ośrodka. No to dwie albo trzy doby podróży mieliśmy do tego Bajkału, bo one wysiadały w Irkucku. Wtedy pierwszy raz pomogli mi moi studenci, którzy ze mną jechali, bo oni bardzo szybko nawiązali kontakt z tymi rosyjskimi studentkami. Przyszli do mnie i powiedzieli: „Panie profesorze, te dziewczyny znają legendy miejskie”. Ja zaraz wzięłem magnetofon i poszedłem. I to była Nastia, Natasza i Irina. Dokładnie pamiętam – przeurocze dziewczyny. Coś takiego nigdy mi się już potem nie zdarzyło, żeby w zbiorowym wywiadzie na każde pytanie były trzy odpowiedzi. Pierwszą opowieść mówi Nastia, potem Natasza, a potem Irena. Trzy warianty na jedno pytanie. I co ja zadam pytanie, każda z nich opowiada. W Polsce zdarzały mi się wywiady grupowe ze studentami, ale nawet jeśli oni znali inne warianty danej legendy, to dorzucali tylko różnice i wtedy nie wychodziły trzy różne wątki, tylko jeden wątek z dodatkami. Natomiast tu miałem trzy niezależne opowieści. No to był wywiad! Nagrałem kilka taśm po półtorej godziny. Oczywiście przerywałem, częstowaliśmy się czymś, bo w tych rosyjskich pociągach było tak, że jak wyjmujesz coś do jedzenia, to cię od razu Rosjanie częstują. To myśmy też te dziewczyny częstowali. Taka się przyjaźń nawiązała, że jedna z nich napisała do mnie później i przysłała mi kilka stron

materiałów związanych z legendą cara Aleksandra I. To popularna w Rosji historia, która mówi, że car Aleksander I nie zmarł śmiercią naturalną, tylko wsiadł do łódki w Taganrogu i zaginął. A potem pojawił się na Syberii jako święty mędrzec i zmarł tam otoczony wielkim szacunkiem. Przez cały XIX w. były wycieczki do grobu tego starca, którego traktowano jako cara Aleksandra.

P. G. Czy na wschodzie Europy i w Azji opowiada się inne historie, które mają swoją specyfikę, czy też spotyka się te same wątki co na Zachodzie?

D. C. Jeśli chodzi o legendy miejskie, to mamy obecnie duże zbiory amerykańskie, angielskie, niemieckie, belgijskie, włoskie, polskie, czeskie, a nie mamy wielkich zbiorów z krajów wschodniosłowiańskich czy krajów Dalekiego Wschodu, więc nie jest łatwo powiedzieć, jaki procent z nich to wątki międzynarodowe. Jak patrzę na moje zbiory wschodniego repertuaru, to wydaje mi się, że wątki zachodnie są w nich obecne, często mają jednak swoiste, lokalne oblicze. Dobrym przykładem jest Mongolia. Tam udało mi się zarejestrować ogólnoswiatowe wątki, które miały silne własne akcenty. Mongolia to mały kraj – około trzy miliony mieszkańców – który jest cały czas zagrożony tym miliardem Chińczyków i każdy Mongoł boi się, że wcześniej czy później może dojść do utraty wolności. Stąd Chiny i Chińczycy są przedstawiani jako wielkie niebezpieczeństwo także w legendach miejskich. I to jest chyba taki uniwersalny proces czy schemat. Próbował go kiedyś opisać Julian Krzyżanowski, który stwierdził, że typowe sytuacje egzystencjalne – np. określone zagrożenia – wpływają na to, iż podobne opowieści powstają niezależnie od siebie w różnych miejscach⁶. W związku z tym również podobieństwo legend miejskich na świecie można tłumaczyć tymi klasycznymi sytuacjami egzystencjalnymi, występującymi w Mongolii, w Rosji, w Polsce czy w innych krajach.

P. G. A na czym polega mongolska specyfika międzynarodowych wątków legendy miejskiej?

D. C. Podam taki przykład. W Ameryce i w Europie jedna z najsłynniejszych legend miejskich to „Znikający autostopowicz”. Mówi ona o tym, że oto jedzie drogą kierowca i zatrzymuje go ktoś bardzo charakterystycznie ubrany. To może być dziadek, jakaś kobieta w czerni, jakaś dziewczyna. Zatrzymuje, prosi o podwiezienie i podaje adres. Kierowca zna ten adres, wie gdzie jechać. W trakcie jazdy pasażer w ogóle nie rozmawia, milczy, siedząc na tylnym siedzeniu. Kiedy kierowca podejżdza pod wskazany adres, okazuje się, że tej osoby już w samochodzie nie ma, a przecież on nigdzie się nie zatrzymywał. Nie rozumie tej sytuacji, idzie do tego domu i opowiada, co się wydarzyło. Wtedy kobieta, która otworzyła mu drzwi, mówi: „To była moja córka; ona zmarła rok

6 Krzyżanowski, J. (1977). Typowe sytuacje życiowe w literaturze i folklorze. W: J. Krzyżanowski, *Paralele. Studia porównawcze z pogranicza literatury i folkloru*. PWN.

temu”. I pokazuje mu zdjęcie, a on widzi, że rzeczywiście wiozł osobę, która jest na zdjęciu.

„Znikający autostopowicz” występuje także w Mongolii, ale pojawiają się tu różne lokalne odmiany tego wątku. Trzeba przy tym pamiętać, że w Mongolii w zasadzie nie ma asfaltowych dróg. Oczywiście poza Ułan Bator, bo to miasto – jak wszystkie inne miasta na świecie – ma asfaltowane drogi, ale te drogi kończą się w każdym kierunku po kilku kilometrach i zaczyna się trakt na stepie. Te trakty są jednak używane przez kierowców ciężarówek, którzy jeżdżą po całej Mongolii i przywożą barany, kumys, sery, żeby wyżywić to wielkie miasto. I to właśnie jest specyficzna sceneria, w której rozgrywa się akcja tych lokalnych odmian „Znikającego autostopowicza”. Jedna z nich to tzw. szybkobiegacz: kierowca mongolskiej ciężarówki zauważa, że obok jego wozu pędzi bardzo szybko, tak szybko jak samochód, jakaś postać. Druga odmiana: ni stąd, ni zowąd w oknie, na zewnątrz jadącej ciężarówki pojawia się dziewczyna, która trzyma się jakiegoś uchwytu i patrzy na kierowcę. On jest tak przerażony tym zdarzeniem, że podjeżdża do najbliższego hudona, czyli wsi, i zaczyna tańczyć, czyli zwariował. W jeszcze innym wariacie kierowcy mongolskiemu psuje się samochód. Ponieważ na stepie trudno znaleźć warsztat, to on zaczyna rozbierać i remontować swoją ciężarówkę, a w tym czasie podchodzi do niego taki mały chłopczyk i prosi o podwiezienie. Kierowca mówi, że jak skończy naprawę, to go podwiezie, ale później postać znika. Ten mały chłopczyk to prawdopodobnie jest jakaś transformacja motywu karła, który występuje w różnych wcześniejszych tradycyjnych, mongolskich opowieściach.

P. G. Czy da się jakoś podsumować Pana badania legend miejskich w krajach wschodniosłowiańskich i w Mongolii? Czy wyłaniają się z tych badań jakieś ogólne wnioski?

D. C. Moje badania na Wschodzie pokazały jedną ciekawą rzecz. Wątki, które pojawiały się na Zachodzie, za parę lat przenosiły się do Polski, a później dalej na Wschód. Na przykład wątek trucizny lub niebezpiecznych pajaków w bananach. Najpierw przeczytałem o nim w artykule jednego z folklorystów ze Szwecji, z którym miałem kontakt. Później zacząłem trafiać na jego warianty w Polsce. Jeździłem wtedy również do Rosji, ale tam w ogóle ludzie nie reagowali na hasło „trucizna w bananach”. Dopiero po jakimś czasie, ni stąd, ni zowąd, moja żona przywozi mi opowieść z Białorusi: jej siostra opowiadała, że szwagier opowiadał, że w Mińsku dojrzewalnia bananów znajduje się w szpitalu, w pomieszczeniu tuż obok „trupiarni” i z tej „trupiarni” przechodzi trupi jad do tych bananów, których nie wolno dawać dzieciom, bo umrą. Podobną sytuację mamy w przypadku wspomnianych wcześniej opowieści o AIDS. Panika na tym tle wybuchła w Stanach Zjednoczonych dużo wcześniej niż w Polsce. Natomiast w Mongolii pojawiła się właśnie wtedy, kiedy ja tam przyjechałem, czyli jeszcze parę lat później. Wszyscy wtedy mówili, jak bardzo niebezpieczny jest AIDS, i ostrzegali mnie, żebym nie szedł do dzielnicy lekkich obyczajów, bo

przyjechało tam kilku murzynów i zaraziło wszystkie mongolskie prostytutki, które wcześniej nie były roznosicielkami wirusa HIV.

Być może teraz, kiedy mamy internet, sytuacja się zmieniła i wątki błyskawicznie przeskakują z miejsca na miejsce. Ja w tamtych latach badałem jednak przekazy ustne i stwierdziłem, że bez wątpienia legendy miejskie wędrowały przez świat z Zachodu na Wschód.

Transkrypcja wywiadu Mateusz Napiórkowski